

Kazimierz Piechowski, uciekłem z Auschwitz

Kazimierz Piechowski jest jednym ze 144 więźniów, którzy zdołali uciec z hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Dzisiaj w wieku 91 lat opowiada swoją historię.

20 czerwca 1942 roku SS-man pełniący straż przy bramie wjazdowej do Auschwitz przeraził się. Przed nim w samochodzie siedział Rudolf Hoess, komendant obozu a obok trzech uzbrojonych mężczyzn, z których jeden – Untersturmführer lub podporucznik – krzyczał i klął.

„Otwierać gnojki” dał się po niemiecku. „Otwierać albo pożałujecie!”. Przerażony wartownik zrywa się, by podnieść szlaban, pozwalając zwinnej maszynie przejechać i oddalić się w niesamowitym tempie.

Gdyby jednak zdołał przyjrzeć się lepiej pasażerom pojazdu, zauważyłby coś niepokojącego: mężczyźni spływali potem, a na ich bladych twarzach malował się strach. Daleko im było do nazistów. W rzeczywistości należeli do grona polskich więźniów obozu. Przebrani w niemieckie mundury wykradli samochód i właśnie dokonali jednej z najbardziej zuchwałych a zarazem brawurowych ucieczek z Auschwitz. Organizator całego przedsięwzięcia, rozwrzeszczany podporucznik okazał się zwykłym skautem, dla którego harcerskie motto „Czuwaj!” stało się życiowym drogowskazem.

Niemal 70 lat później właśnie on, więzień nr 918 siedzi w harcerskiej siedzibie Baden Powell House w Londynie nienagannie ubrany, z twarzą tak gładką, jak jego doskonale wyprasowana koszula. Gdy podczas uroczystej ceremonii mała harcerka przyozdabia go honorową chustą prostuje plecy jak nastolatek.

Jako gość w Wielkiej Brytanii jest zachwycony, kiedy piosenkarka Katy Carr wraz ze skautami odśpiewuje piosenkę zainspirowaną historią jego życia. Jednak już za chwilę Kazimierz Piechowski, czyli Kazik (bo tak woli być nazywany) opowie to, o czym niewiele w Zjednoczonym Królestwie słyszało: jak podczas nazistowskiej okupacji harcerze nieco starsi od tu zgromadzonych ginęli na ulicach, podczas gdy inni, tacy jak on byli zsyłani do obozów, gdzie doświadczali „ostatecznego rozwiązania”.

Piechowski spędził szczęśliwe dzieciństwo w Tczewie, gdzie wraz z kolegami pływał w pobliskiej Wiśle i bawił się w Indian ze swoimi dwoma braćmi. Jego rodzice należeli do klasy średniej. Ojciec pracował na kolei. Gdy Kazik miał 10 lat wstąpił do harcerstwa – to

zmieniło jego życie na zawsze.

Młodzieżowa organizacja przeżywała wówczas swój rozkwit w Polsce, która niedawno, bo po I wojnie światowej odzyskała niepodległość. Stowarzyszenie kładło nacisk na patriotyzm, upór, hart ducha i braterstwo. „Wstąpiłem, bo czułem się patriotą”, wspomina. „Gdy wróciłem do domu, mama rozplakała się i powiedziała do mnie: «Jestem taka szczęśliwa, że wybrałeś dobrą drogę.»”

Kiedy naziści zaatakowali kraj 9 lat później, w 1939 roku, postrzegali harcerstwo jako symbol nacjonalizmu i potencjalny ruch oporu. „Miałem 19 lat, gdy wybuchła wojna”, mówi Piechowski. „Cztery dni po tym, jak zaczęła się kampania, Niemcy wkroczyli do Tczewa. Zaczęli rozstrzeliwać harcerzy.” Wśród złapanych i zabitych znajdowali się koledzy Kazika z dzieciństwa. Chłopak był przerażony. „Wiedziałem, że wcześniej czy później również zostanę zabity”, mówi, „dlatego postanowiłem uciec.”

Próbował przedostać się na Węgry, by stamtąd wyruszyć do Francji, gdzie tworzyło się wojsko polskie. Złapano go, gdy przekraczał granicę. Po ośmiu miesiącach spędzonych w różnych więzieniach, wysłano go do Auschwitz.

„Trafiłem do obozu w drugim transporcie” mówi Piechowski, „i pomagałem go tworzyć.” Stare budynki były zbyt małe, by pomieścić wszystkich złapanych podczas masowych aresztowań, dlatego więźniów zmuszano do pracy po 12-15 godzin dziennie. Tak powstawał największy nazistowski obóz zagłady.

„Przez pierwsze 3 miesiące, wszyscy byliśmy w zupełnym szoku”, mówi pan Kazimierz. A wszystko szło ku gorszemu. Od czerwca 1940 i przez pierwsze 6 miesięcy 1941 roku SS-mani bili więźniów pałkami aż do śmierci – był to najprostszy sposób radzenia sobie z przeludnieniem w obozie.

Dzisiaj straszliwy głód, niewyobrażalna brutalność i przymusowa praca fizyczna, czyli całe piekło obozu koncentracyjnego zostały dobrze udokumentowane. Jednak szczegóły ze wspomnień Piechowskiego wciąż mogą wstrząsać. Każdy więzień miał łyżkę i cynową miskę, z której nie tylko jadł i pił, lecz również oddawał do niej moc. „Jeśli zgubiłeś łyżkę, jadłeś prosto z miski jak pies”, mówi cicho. „Jeśli zgubiłeś miskę, nie jadłeś”.

Czasami strażnicy zabijali tylko po to, by dostać urlop. „Gdy SS-man się nudził, ściągał czapkę więźnia i rzucał ją. Następnie rozkazywał, by ją przyniósł. Kiedy osadzony zaczynał biec, oficer strzelał do niego i ranił śmiertelnie. Później mówił, że udaremnił próbę ucieczki. Za to dostawał 3 dni wolnego.”

Jak ludzie radzili sobie? „Niektórzy modlili się, ale niektórzy – nawet spośród niegdyś wierzących – twierdzili, że nie może być Boga, skoro Auschwitz istnieje.”

Przez 6 tygodni Piechowski grzebał ciała straconych w egzekucjach. „Ściana śmierci znajdowała się między blokiem 10. a 11. Ustawiali więźniów w linii i strzelali im w tył głowy.” Na koniec piętrzył się stos nagich trupów, które Piechowski wraz z innym wyznaczonym do tego więźniem rzucali na wózki. Następnie transportowano je do krematorium. „Czasami było ich 20, czasami 100, czasami więcej. Mężczyzn, kobiet i dzieci.” Patrzy na mnie przejmująco. „I dzieci”, powtarza.

Jednak nie myślał o ucieczce dopóty, dopóki na liście śmierci nie znalazło się nazwisko przyjaciela. Jak wielu innych harcerzy przyłączył się do obozowego ruchu oporu. Skauci w większości mówili dobrze po niemiecku, pełnili nieraz nawet znaczące funkcje (np. w szeregach obozowej policji) i mieli dostęp do akt uwięzionych. Pewnego dnia ukraiński przyjaciel Kazimierza – Eugeniusz Bendera, utalentowany mechanik, który pracował w obozie przyszedł do niego. „Ci, którzy mieli wgląd w jego akta, powiedzieli mu, że ma być stracony. Byłem zdruzgotany”, mówi Piechowski. Tak zrodziła się myśl o ucieczce.

„Stwierdził, że może zorganizować samochód, ale samo auto to za mało.” Mężczyźni byli osadzeni w macierzystym obozie Auschwitz I, gdzie ogrodzenie stanowił zelektryfikowany drut kolczasty, a strażnicy stali co kilka metrów. Dlatego ucieczka była możliwa tylko przez główną bramę oznaczoną słynnym napisem „Arbeit macht frei” (Praca czyni wolnym). Pokonać należało też zewnętrzny obwód kompleksu.

Zadanie było trudne, ale Piechowski nie mógł odmówić prośbom przyjaciela. „Gdy wyobrażałem sobie Gienka [Benderę] stojącego pod ścianą śmierci i zabijanego, zaczynałem kombinować.” Pomocnym okazał się fakt, że Kazik pracował właśnie w magazynie, gdzie przechowywano mundury i amunicję strażników. Powoli pomysł nabierał kształtów. To, co powstrzymywało przed jego realizacją, to ewentualne konsekwencje dla innych więźniów. „Niegdyś po przybyciu nowego transportu zastępca komendanta powiedział: «Jeśli kiedykolwiek komuś przyjdzie do głowy coś tak głupiego, jak ucieczka, niech wie, że za każdego, który opuści obręb obozu pozbawimy życia dziesięciu z jego bloku lub grupy roboczej.» Te słowa były jak kubeł zimnej wody.”

Zatem, aby naziści nie pociągnęli do odpowiedzialności ich kolegów Piechowski i Bendera utworzyli fikcyjną grupę, w której skład weszli harcerz Stanisław Gustaw Jaster oraz ksiądz Józef Lempart.

20 czerwca 1942 roku – dokładnie 2 lata odkąd Gienek przekroczył bramę obozu – konspiratorzy spotkali się na poddaszu jednego z nieukończonych bloków, aby po raz ostatni omówić plan ucieczki.

To była sobota, wtedy praca ustawała w południe, a w magazynach i garażach nie było nikogo. Zanim przystąpili do akcji modlili się za swoje rodziny. Ustalili też, że jeśli próba

nie powiedzie się zastrzelą się. „To co naprawdę utwierdzało nas w postanowieniu i pchało do realizacji, to fakt, że jeśli nic nie zrobimy, Gienek zginie. Do ostatniej chwili mieliśmy wątpliwości, ale mówiliśmy sobie: musimy to zrobić, musimy wierzyć.”

Z wózkiem zawierającym kuchenne odpady czwórka zaczęła podążać w kierunku bramy ze znanym napisem. Tutaj Piechowski, modląc się o to, by ich nie sprawdzono, powiedział strażnikowi, że są częścią grupy, która wywozi śmieci. Szczęście dopisało i wydostali się poza obręb głównej części obozu. Teraz mogli zmierzać do magazynów. Jak się czuli? „Nie myślałem o niczym”, mówi pan Kazimierz. „Chciałem po prostu przejść ten ostatni sprawdzian. Od tej pory potrzebowaliśmy nie tylko odwagi, ale też bystrości umysłu.”

Trzech z nich tylnymi drzwiami, które tego dnia podczas pracy Piechowski zostawił niezamknięte, wdarło się na drugie piętro magazynu i przebrało w niemieckie mundury. Tymczasem Bendera dzięki podrobionemu kluczowi przedostał się do garażu i wykradł samochód. Wybrał Steyr 220, najszybsze auto w Auschwitz do wyłącznej dyspozycji komendanta. „Musiał być szybki, by zdołał dotrzeć do Berlina w ciągu kilku godzin. Wzięliśmy go, gdyż w razie pościgu dawałby nam szansę ucieczki.”

Przejechali przez główną bramę, gdzie SS-man zasalutował im i pozdrowił słowami „Heil Hitler!” Ale najważniejszy test Piechowskiego miał się dopiero odbyć. „Przed nami był jeszcze jeden problem. Nie wiedzieliśmy, czy kiedy dotrzemy do ostatniego posterunku, uda nam się go minąć. Założyliśmy, że zagram rolę niemieckiego oficera tak przekonująco, że strażnicy mi uwierzą.”

Niestety gdy dotarli do zapory, strażnik nawet nie drgnął. Piechowski opisując zdarzenie patrzy w dal, jakby wciąż widział przed sobą tę ostatnią przeszkodę. „Zbliżyliśmy się do szlabanu, a on wciąż jest zamknięty... Jeszcze 80 metrów i nic, dalej spuszczone... 60 metrów – to samo. Patrzę na twarz mojego przyjaciela Gienka, ma pot na czole, jest blady i zdenerwowany. Mamy 20 metrów przed sobą, a przejazd wciąż jest zamknięty.” Bendera zatrzymuje samochód, a Piechowski patrzy tępo przed siebie, nie wiedząc co robić. Wtem czuje uderzenie w ramię. To Lempart szepcze mu do ucha: „Kazik, zrób coś.”

„To był najbardziej dramatyczny moment. Zacząłem krzyczeć.” SS-mani posłuchali i przed mężczyznami otworzyła się droga do wolności. Cwórka znalazła się w gronie zaledwie 144 osób, którym udało się uciec z obozu w Oświęcimiu.

Naziści byli wściekli. Piechowski relacjonuje: „Kiedy w Berlinie komendant usłyszał, że zbiegli czterej więźniowie zapytał: «Jak do diabła zdołali uciec w moim własnym samochodzie, w naszych mundurach i z naszą amunicją?» Nie mogli uwierzyć, że ludzie, których nie podejrzewali o krztę inteligencji, tak ich wyrolowali.”

Trzymając się z dala od głównych dróg, by uniknąć pochwycenia, jechali leśnymi drogami przez dwie godziny. Kierowali się w stronę Wadowic, gdzie zostawili samochód i dalej podążali pieszo. Spali w lesie zmieniając się co jakiś czas na czaty. Lempart rozchorował się, więc został na parafii u pewnego proboszcza, Jaster wrócił do Warszawy, a Piechowski i Bendera jakiś czas spędzili na Ukrainie. Później pan Kazimierz wrócił do Polski, wstąpił do AK i do końca wojny walczył z nazistami.

W rewanżu za ucieczkę zatrzymano rodziców Jastera, a następnie wysłano ich do Auschwitz, gdzie zginęli. Konsekwencje wyciągnięto też w stosunku do obozowych współwięźniów czwórki. „Miesiąc po naszej ucieczce, wyszło rozporządzenie, by tatuować wszystkich więźniów [ich numerem obozowym]. Naziści wiedzieli, że włosy uciekinierów odrosną, a partyzanci wyrobiją im nowe papiery. Ale ludzie widząc ich numer, będą wiedzieli, że są z Auschwitz. W żadnym innym obozie nie stosowano takiego znakowania – to nasza ucieczka przyczyniła się do tego.”

Piechowski do dziś wspomina pobyt w obozie jako koszmar. Nigdy ich nie złapano, ale jego problemy nie skończyły się. W 1947 roku polskie władze komunistyczne skazały go na 10 lat za jego akowską przeszłość. Odsiedział 7 lat. „Kiedy wreszcie wyszedłem z więzienia, miałem 33 lata, myślałem, że cała moja młodość minęła, że odebrano mi najlepsze lata życia.”

Później został inżynierem, a kiedy reżim upadł w 1989 roku, postanowił podróżować po świecie ze swoją żoną Igą. Napisał dwie książki o swoich doświadczeniach i stara się, by nie zapomniano o tym, co zdarzyło się w Auschwitz.

Czy nie ma nic przeciwko ożywianiu jego straszliwej przeszłości? „Jestem harcerzem, muszę wypełnić swój obowiązek – być radosnym i pogodnym. Będę harcerzem do końca życia”, mówi prosto.